

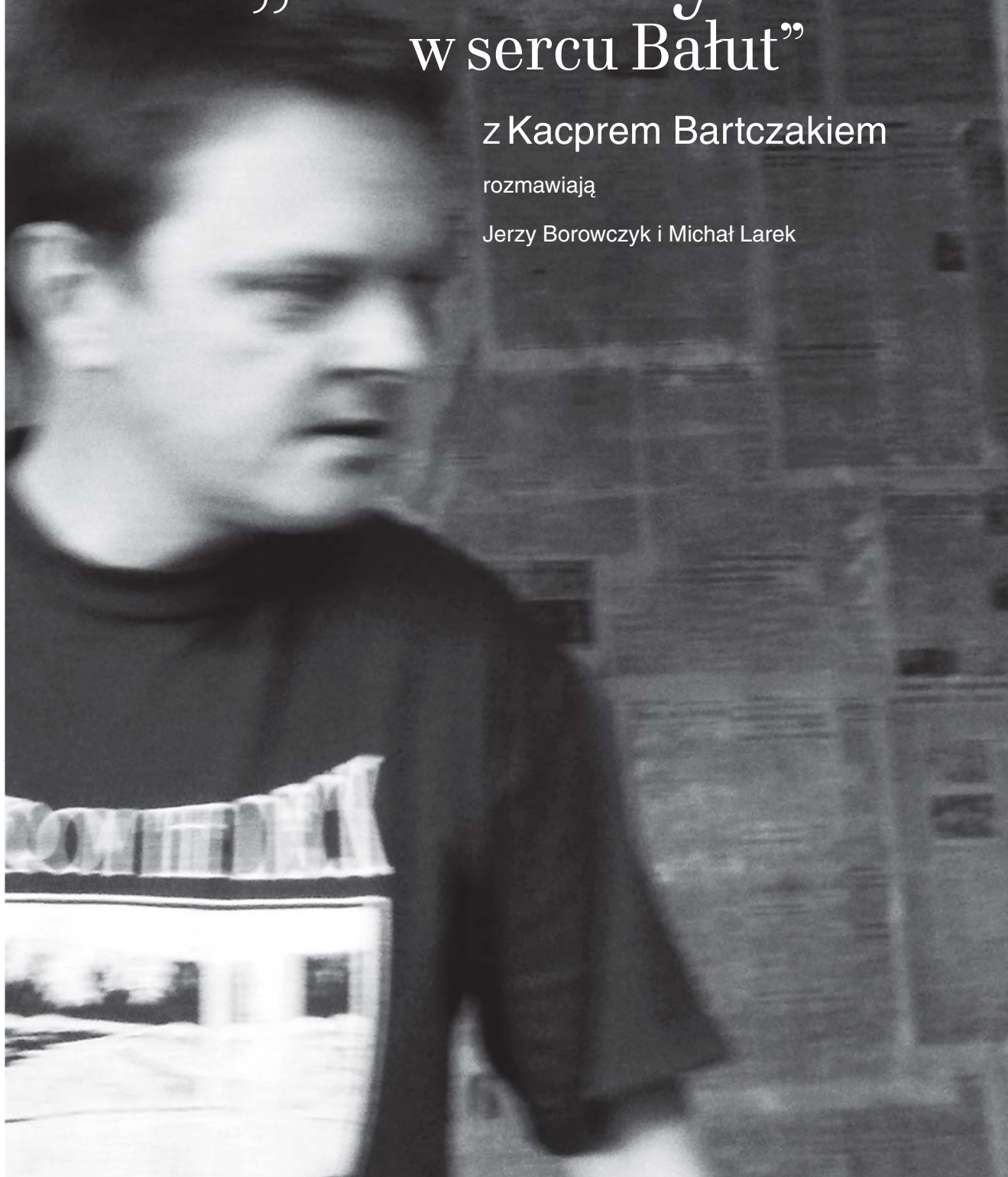
CzasKultury 4/2014

# „Jesteśmy w sercu Bałut”

z Kacprem Bartczakiem

rozmawiają

Jerzy Borowczyk i Michał Larek



Łażenie po podwórkach było szokującym doświadczeniem. Ani jednej linii prostej, ani jednej powierzchni gładkiej, nawet trzepak jest jakoś zgięty. Jakieś przybudówki drewniane włączają w mur. Ale ciągnęło mnie tam. Do tych perwersji.

### Pejzaż zdegradowany

Kacper Bartczak: Jesteśmy na Sikawie. Tam dalej jest więzienie, a kiedyś był obóz jeniecki. W *Vabanku* Machulskiego jest mowa o „więzieniu na Sikawie”, ale to chyba bardziej taka fikcja. No bo gdzie niby toczy się akcja filmu? W Łodzi jest pełno takich miejsc – zaistniały jako świetne plany filmowe.

Michał Larek: A co to za część Łodzi?

Widzew. Stąd mnie czasami dochodzą wrzaski ze stadionu.

Jerzy Borowczyk: A ty jesteś kibic Widzewa czy ŁKS-u?

Startu Łódź.

M.L.: Co to jest?

Nieistniejący klub, w którym grałem w koszykówkę jako młodzik. Byłem niski, ale nadrabiałem pomysłowością... i harowałem w obronie.

Za chwilę wjedziemy na Doły. Mieszkałem tu na samym początku podstawówki. Bardzo dobry czas.

Niebawem podjedziemy pod bramę Cmentarza Żydowskiego, a zaraz potem wjedziemy na teren getta żydowskiego.

O tym cmentarzu krążyły w tej okolicy straszne historie. Na przykład o tym, że sataniści zabijają koty w ramach swoich straszliwych rytuałów. „Nie wchodź tam – mówiono mi. – Tam bandyci grasują”.

Widzicie te białe bloki betonowe, te obeliski? Tak się zaznacza ogrodzenie getta właśnie. Ten park nosi nazwę Szarych Szeregów.

W ogóle Doły w Łodzi to moja definicja przestrzeni.

M.L.: Co to za definicja?

Takie pomieszanie miasta i przedmieścia. Poczucie swobody, dużo zieleni, parki, otwarty teren, ale też jakieś płyty, chaszczki, ogrodzenia, stare sady, cmentarze. Ja to w siebie wchłonałem i potem zawsze tego szukałem. Później mieszkałem na innym łódzkim przedmieściu – na osiedlu Radogoszcz, tam było jeszcze bardziej wiejsko. Pola, wiejskie chaty, zagajniki, a w tym osiedle z płyty w błocie i glinie. Chaos i poplątanie.

A teraz wjeżdżamy w przestrzeń, część Bałut, która – jak wyczytałem w „Tyglu” – jest najbardziej zdeorganizowaną miejską przestrzenią w Polsce.

J.B.: Świetnie to wygląda!

To jest taka mieszanka: trochę rozpadających się kamienic, niektóre naprawdę straszą, trochę architektury z lat 50., takiej bardziej sztywnej – socreal.

Zaraz zobaczycie fajny chaos. Tu się naprawdę można pogubić.

M.L.: (czyta napis na ścianie) „ŁKS trzyma sztambę z cymbałami”.

Tu są bardzo patriotyczne nazwy ulic. Zaraz minniemy na przykład ulicę komendanta Łupaszki. To jest płatanina. Wjedziesz tu i później nie wyjedziesz.

Zobaczcie, jak to wygląda! Jezus Maria, jakie tu panuje zniszczenie, nigdy się temu nie mogę +

nadziwić. Teren skażenia i rozpadu. I te kamienice rozpadają się tu już od zawsze... one zawsze tak wyglądały... I to zmieszane z tą socrealistyczną sztuką.

J.B.: Super! Te balkoniki z balaskami, typowe dla lat 50.

Tu jest zakaz.

Hm, kręcimy się w kółko.

M.L.: Nic nie szkodzi.

Ale mam plan, uwierzcie mi.

Chciałem wam pokazać budynek, który dla mnie oznaczał przejście ze śródmieścia, z jego starymi kamienicami, do czegoś nowego. To była socrealistyczna zabudowa, ale wtedy wydawała się imponująca, oznaczała wyjście ze śródmieścia.

Korek. OK, ominiemy to, pojedziemy więc gdzie indziej.

Teraz posłuchajcie. Jesteśmy w sercu Bałut.

Oprawdałem tędy kiedyś koleżankę ze Stanów, która pisała doktorat o motywie opuszczonych domów w poezji. Pokazałem jej tutejsze bary, pijalnie piwa, i zobaczyłem, że to robi na niej duże wrażenie [śmiech]. Opuszczone domy też były – drewniane rudery między zgniłymi kamienicami. Jakoś się ostały. Koleżanka była w szoku. Ona jest z Kolorado – wiecie: przestrzeń, góry, czyste powietrze.

A tu takie polskie Detroit. Postępująca degradacja.

Tu też kiedyś mieszkałem. Na ulicy Kochanowskiego. Naprzeciwko miałem pewną ruinę, która na moich oczach zaczęła się palić.

J.B.: O, choroba! Kocham ruiny...

Jej mieszkańcy, którzy byli pijani, siedzieli sobie w oknach i patrzyli na tę gawiedź, która się gapiała na nich. To było straszne i śmieszne zarazem.

To wszystko zostało we mnie.

## Znikliwa Łódź, zaaranżowana rzeczywistość

Nie wiem do końca, co ja wam opowiadam. Ale może głównym motywem byłyby znikliwość tego miasta, podatność na ciągłą przemianę. Jego przestrzeń się szybko reorganizuje. Mnie tutaj zawsze towarzyszyło poczucie sztuczności. Że tutaj są takie przenośne zestawy do urządzania życia. Słabe poczucie stałości rzeczy, wszystkich rzeczy. Później pojawiło się też poczucie, że sama rzeczywistość jest czymś zaaranżowanym, sztucznym, w tym sensie, że jest czymś skonstruowanym: można to składać i rozkładać, jak jakiś kram. Takie przecucie jest niebezpieczne – no bo można się zgubić – ale i dopingujące. Nigdy nic nie jest ci dane, zawsze musisz od nowa wykonywać jakieś operacje interpretacyjne.

J.B.: Tak jest chyba z Twoją poezją. Każdy wiersz jest nowym punktem wyjścia.

Tak myślę o wierszu. Wejście w środek – znikąd. Próba zorganizowania się po nagłym wrzuceniu, zorientowania się, na czym się stoi. Poszukania sobie jakiejś formy.

## Zimoch!

M.L.: Byłeś kiedyś na meczu ŁKS-u?

J.B.: Albo Widzewa?

Nie byłem. I nie będę.

A wiecie, która z polskich drużyn zagrała jako ostatnia w Lidze Mistrzów?

J.B.: Widzew Łódź.

Widzew Łódź, bardzo dobrze. Kiedy? W 1996 roku. Z trenerem Franzem Smudą. W ostatnich minutach pokonali jakąś duńską drużynę w eliminacjach.

J.B.: Broendby Kopenhaga.

Tak jest. Brawo.



J.B.: Słynna relacja Tomasza Zimocha, który krzyczał do sędziego: „Panie Turek, kończ pan ten mecz!!!” [śmiech]

M.L.: Do dzisiaj ciarki mnie przechodzą, jak tego słucham.

Zimoch jest niesamowity. Znam inne jego teksty. „Maluj, Justyna, maluj tymi zębami!” – na przykład.

## Punkt

Teraz pojedziemy w kierunku Śródmieścia. To jest XIX-wieczna część Łodzi, taki żywy skansen. Zobaczycie na przykład budynek Akademii Muzycznej, który znalazł się w *Ziemi obiecanej*. Tam gdzie się zatrzymamy, wyjdziemy i zajrzyjemy do paru podwórek.

J.B.: Podwórka? Świetny pomysł.

A tu gdzieś jest „punkt”. To są takie socrealistyczne budynki wzdłuż ulicy Zachodniej, północne obrzeże Parku Śledzia. O tam, patrzcie,

za Żabką. Wiecie, co to jest „punkt”? Moja babcia mówiła czasem: „Zanieś to do punktu”. A do punktu zanosiło się zepsute sprzęty. Tam, wśród kartonów i pudełek ze stertami części zamiennych, siedzi taki szary facet, któremu przynoszą różne graty, żeby on je naprawił. Odkurzacze, miksery, stare lampy, jakieś grzałki. Ten facet mało mówi. Patrzy na coś, potem podchodzi do jakiegoś kartonika, zagląda do niego i mówi: „Dobra, zrobię to”. No i robi to za trzydzieści złotych. Uwielbiam tam chodzić. Kiedyś przyniosłem mu amerykański mikser, żeby mi przystosował do polskich warunków.

Tu jest pałac Poznańskiego.

Zaraz wjedziemy w aleję Kościuszki. Jedna z głównych arterii. Tu były kiedyś kamienice. Teraz już ich nie ma. Wyburzono je. Tam mieszkał mój ojciec.

Skręcimy. Nie, nie skręcimy. Zakaz, ale jakiś nowy. Tego tu nie było. No dobrze, jedziemy dalej. A tu – *Ucieczka z kina Wolność*, proszę, to jest to kino.

+

Tu była kiedyś restauracja Casanova, w której nakręcono kilka scen *Vabanku*.

Patrzenie, czarne, smołowe dachy – to jest wspomnienie, jedno z pierwszych. Gdy się spojrzy na Łódź z lotu ptaka, widać właśnie to. Tu są bardzo przynębiające podwórka.

## Czarne izby

To jest ulica Więckowskiego. Tutaj zaparkuję.

J.B.: OK. Wsiadamy.

M.L.: Wspomniałeś kiedyś, że mimo różnych wyjazdów za granicę nigdy nie opuściłeś Łodzi, że ona tkwi w Tobie bardzo mocno.

Tak, ale w czasie różnych dłuższych pobytów w Stanach zawsze czułem, że mógłbym tam jeszcze trochę posiedzieć. Nie sprawiłoby mi to żadnego kłopotu. Więc nie chodzi mi o jakieś „przywiązanie”, o tęsknotę. Mógłbym stąd uciec, gdzie indziej znaleźć sobie miejsce. Ale Łódź we mnie siedzi.

Czasami się zastanawiam, czy ja nie noszę w sobie jakiegoś sporego „doła”, jakiejś ruiny. W moich najgorszych snach widzę czarne izby oznaczone rozpadem. Puste, drewniane skrzynki, korytarze, czarne bramy, tego typu rzeczy. Poczerniałe drewniane schody na odrapanych cuchnących klatkach schodowych. Jakiego kotłownię pod schodami.

J.B.: A co z tymi podwórkami?

Łaźnienie po podwórkach było szokującym doświadczeniem. Ani jednej linii prostej, ani jednej powierzchni gładkiej, nawet trzepak jest jakoś zgięty. Jakiego przybudówki drewniane włączają w mur. „Jak coś takiego może w ogóle istnieć?” – zastanawiałem się. Ale ciągnęło mnie tam. Do tych perwersji.

J.B.: Może tu wejdziemy?

Proszę bardzo.

J.B.: Pusto, zobaczcie, tylko gołębie na gzymsie pod oknami. Trzepak. Jedna ściana otynkowana, druga z dwóch rodzajów cegły, trzecia z graffiti. Żadnej regularności. Ni to trapez, ni trójkąt. No i smrodek.

Mocz z tynkiem.

M.L.: A skąd ten sen z czarnymi izbami?

Mam kilka nawrotowych snów. Część z nich dotyczy tej zrujnowanej architektury. To są najwcześniejsze obrazy. W tym są matka i ojciec. Pociąga mnie i odstrasza taka myśl, że może się znowu tu kiedyś znaleźć.

M.L.: Znowu?

Pierwsze moje mieszkanie to była jedna duża izba, w której jedynym sprzętem był piec kafłowy. I zlew z zimną wodą. Tam ze dwa, trzy lata z rodzicami przemieszkaliśmy. I jeszcze jeden sen. Duża przestrzeń. Stoję na jakimś wzgórzu, a pode mną jest morze na pół już zrujnowanej, ceglanej architektury.

J.B.: Idziemy?

Tak.

M.L.: Fantastyczna sceneria, Kacper.

Zapuszczona podwórka, rozproszona armia pijaczków i dziewczyny z solarium.

J.B.: To wygląda tak, jakbyśmy weszli w sam środek rozdziału jakiegoś dużej powieści.

Może tak. Ale będzie w niej trochę urwanych wątków, ślepych uliczek, plomb. Pewien mój kolega, poeta zresztą, uwielbia mi opowiadać o ulicach w Łodzi, które istnieją w wersji śladowej. Jest na przykład ulica Trenknera, której został jeden numer, tylko jeden numer.

J.B.: Przystańmy tutaj, przy tym oknie, ja skrucę sobie ćmika.



## Whitman

Dla mnie bardzo ważny jest Walt Whitman. Uważam, że on nie umarł. Uważam, że jego romantyzm przechowuje coś ważniejszego niż nam się wydaje. To przeświadczenie, że sztuczność zapisu poetyckiego wdiera się w każdy rejon rzeczywistości, że głos ma o wiele szersze pasmo nadawania, że promieniuje skądś, wraca z zaskakujących źródeł. Z rozkoszą mówię na zajęciach o Whitmanie, chociaż ostatnio mówię już właściwie do siebie, nie do studentów. Albo mówię do dwóch, trzech osób w grupie; to doświadczenie tekstu literackiego jako żywego ciała, jako warstwy czegoś żywego, co chce mówić z samej „martwej” materii. Dla większości z nich to już kompletna abstrakcja. Potem chyba Emily Dickinson?

M.L.: Dlaczego ona?

Niepowtarzalna koncentracja doznania kontaktu z tym, co „na zewnątrz” Ciebie, wskazująca na siłę doznania. Jej wiersze są zapisem za-

równy wyjścia do świata – do jego „życia” – ale i bólu należącego do momentu kontaktu.

M.L.: I ktoś jeszcze?

Wallace Stevens. Zdecydowanie Stevens. Mam w domu wydanie zbiorowe jego poezji i esejów. Ostatnio zdałem sobie sprawę, że czytam go od prawie 20 lat. Nie mogę przestać.

## Na parkingu

A to jest były budynek Wydziału Filologicznego. Tutaj zostawimy auto, może się uda. Dzień dobry! [do pani na portierni, która pilnuje parkingu] Mogę po starej znajomości zaparkować na godzinkę tutaj?

Pani: Proszę stanąć na dwójce i do mnie podejść. Dobrze.

Pani: Wezmę tylko dwa złote.

Dziękuję.

Łódź, 22 sierpnia 2014